

Zdzisław Najder*

EUROPEJCZYK MYŚLI O SWOJEJ UNII

Jean-Jacques Rousseau w swojej rozprawie o nierówności pisze o człowieku pierwotnym: „Gdy chodziło o schwytywanie jelenia, każdy wiedział, że musi w tym celu trwać wiernie na swym stanowisku; ale niechby w zasięgu jednego z nich przebiegł zając, nie ulega wątpliwości, że bez wahania puściłby się za nim, a schwytawszy swą zdobycz, mało by się o to zatroszczył, że przez to jego towarzysze stracili swoją”. Nie wiem, czy Jean Monnet znał tę rozprawę, ale dostatecznie znał życie, by przestrzegać: jeżeli do rozmów międzynarodowych będziemy przystępować z zamiarem zwiększenia korzyści własnego państwa – rezultaty zawsze będą marne. Wszyscy uczestnicy rokowań powinni myśleć o znalezieniu wyjścia, które najlepiej zapewni realizację wspólnego celu.

Przedmiotem głębokich i nerwowych zastanowień psychologów, socjologów i ekonomistów stał się w drugiej połowie XX wieku tak zwany „dylemat więźnia”. Polega on, najkrócej mówiąc, na wyborze między rozsądkiem a porywem solidarności; albo między interesem jednostkowym a dobrem publicznym. Był ludziom znany przynajmniej od czasu, kiedy zeszli z drzew i zaczęli chodzić na dwóch, a nie czterech kończynach. Naszkicował go – ze sceptycznym komentarzem – Rousseau w zacytowanym powyżej fragmencie. Jego matematyczną formułę przedstawił sześćdziesiąt lat temu genialny twórca teorii gier, Węgier John von Neumann.

Oto dwu więźniów jest oskarżonych o współudział w przestępstwie. Przed oboma stoją trzy możliwości: albo odmówić zeznań, albo przyznać się do współwiny, albo obciążyć drugiego. Jeżeli obaj odmówią zeznań, mogą dostać po roku. Za przyznanie się do współudziału – po dwa lata. Ale jeżeli tylko więzień A obciąży więźnia B, sam ma szansę wyjść po roku, a więzień B dostanie cztery. Postępując rozsądnie, obaj więźniowie będą się oskarżać, bo wówczas żadnemu nie grozi więcej niż dwa lata więzienia. Jeżeli jednak, kierując się irracjonalnym bodźcem solidarności i okazując sobie zaufanie, obaj pójdą w zaparte, ryzykując dłuższą odsiadkę – wyjdą na tym lepiej.

Jakże to możliwe, by zachowanie racjonalne było jednocześnie zachowaniem antywspólnotowym? Wieloletnie wysiłki w celu znalezienia pocieszającego dla racjonalistów wyjścia spełzły na niczym. Altruizm okazał się – i twardo potwierdzają to matematyczne formuły – sprzeczny z rozsądkiem. Ludzka solidarność

* Profesor nauk humanistycznych na Uniwersytecie Opolskim, publicysta „Rzeczpospolitej”.

jest gestem irracjonalnym. Wzajemne zaufanie jest z natury obciążone ryzykiem; chcesz zaufania, musisz ryzykować.

Nie wiem, czy któryś z Ojców Europy interesował się teorią gier i znał sławny „dylemat więźnia”. Jest jednak dla mnie jasne, że projekt europejski, realizowany po II wojnie światowej, który doprowadził do wytworzenia struktur dzisiejszej Unii Europejskiej, stanowi próbę wyciągnięcia pozytywnych wniosków z przykładów, które ukazują historyjka Rousseau i formuła von Neumanna. Dla wspólnego dobra musimy odłożyć na bok rozsądek, to znaczy: tradycyjne widzenie stosunków międzynarodowych w kategoriach konkurencji między racjami stanu albo darwinowskiej walki o zwycięstwo najsprawniejszego gatunku. I takiej odpowiedzi należy udzielać Robertowi Kaganowi, który namawia Europę do powrotu do trzeźwego i rozsądnego Hobbesa.

Ojcowie Europy w miejsce osobniczego rachowania zysków i strat wprowadzili, wedle ulubionej formuły Monneta, „poszukiwanie własnego zysku w zysku wspólnym”. Nie da się tego robić bez klimatu zaufania; Konrad Adenauer, podsumowując swoje długoletnie doświadczenia, napisał: „pytanie, czy można komuś zaufać, posiada decydujące znaczenie zwłaszcza w polityce międzynarodowej”. Budowa dzisiejszej Unii Europejskiej trwa już ponad pół wieku, a cała jej historia jest wielkim poświadczeniem prawdy słów starego kanclerza. Wszystko, co się udało wspólnie wytworzyć, było możliwe tylko dzięki odruchom zaufania. A spora część porażek i kryzysów – łącznie z tym, jaki przeżywamy na przelomie lat 2003/2004 – wynikała z „rozsądnej” nieufności (taką np. odczuwają dziś Polacy).

Nie należy się temu zbyt dziwić, bo rządy i przywódcy państw, tak samo jak myśliwi Rousseau, nierzadko ulegają pokusie wyłamania się z solidarnego kręgu i zapolowania na pewną (choć zwykle znacznie mniejszą) zwierzynę. Paradoksalnie czynią to chętniej myśliwi lepiej uzbrojeni, silniejsi: a więc państwa większe (jak Francja, Hiszpania, Wielka Brytania) raczej niż małe (choć i Dania pokazuje, co potrafi). To naturalne: państwa o tradycjach mocarstwowych przywykły do samodzielnych, siłowych prób urabiania dookolnej rzeczywistości. Państwa mniejsze i słabsze muszą szybciej mądrzeć; wiedzą, że działania zbiorowe są ich jedyną szansą; nie mają też złudzeń, że bez ryzyka da się wiele osiągnąć.

Londyński „The Economist”, tygodnik, którego linię sama redakcja określa jako proeuropejską (choć niechętną wobec euro), ogłosił w styczniu 2004 r. specjalny raport na temat „jedności europejskiej”. Trudno o lepszą ilustrację niezrozumienia, na czym polega szczególność – i siła – dwudziestowiecznego projektu jednoczenia, ucieleśnianego przez Unię. Autorzy raportu nie wspominają bowiem ani słowem o takich antecedenjach, jak ruch *Giovina Europa* Giuseppe Mazziniego (współtwórcy nowoczesnych Włoch) w połowie XIX wieku, w którym brała udział i emigracyjna Młoda Polska. Sięgają natomiast uparcie po przykłady „jednoczenia” kontynentu, dokonywanego drogą podboju i dominacji jednego mocarstwa. Piszą więc obszernie o Rzymie, cesarstwie Karola Wielkiego, Napoleonie, a nawet o Hitlerze. Słowem: nie wydobywają na plan pierwszy, nie czynią składnikiem definicyjnym tego, co stanowi o istocie wizji realizowanej od ponad pół wieku. Wspólnoty Europejskie powstawały, wedle słów Jerzego

Łukaszewskiego, „jako międzynarodowe zjawisko bez precedensu i tworzyły precedens”. Ta bezprecedensowość – stanowiąca magnetyczną siłę, ale sprawiająca wielkie kłopoty pojęciowe i terminologiczne, ponieważ jakościowo nowe zjawisko trzeba jakoś ujmować w stare nazwy, bo nowe brzmią zbyt obco – polega na tym, że poszczególne państwa, wcześniej całkiem osobne, nie zostają podporządkowane jednemu hegemonowi, lecz kierują prerogatywy swojej suwerenności we wspólny i wspólnie kontrolowany strumień decyzyjny.

Wiemy dobrze z historii nauki, że zmiana aparatów pojęciowych czy (w terminologii T.S. Kuhna) paradygmatów interpretacyjnych odbywa się skokowo i przysparza nieporównanie większych kłopotów niż dodawanie nowych faktów do istniejącego już kanonu wiedzy. Trzeba sobie dodatkowo uświadomić, że opisywanie (i rozumienie) integracji europejskiej stawia nie tylko wymóg stosowania nowych kategorii do opisu przedmiotów wcześniej istniejących – jak to się dzieje na przykład przy przechodzeniu od fizyki newtonowskiej do kwantowej. Mamy bowiem do czynienia ze zjawiskiem nigdy wcześniej nie występującym. Odpowiednią analogię stanowią więc choćby latające maszyny cięższe od powietrza (notabene starsze od wspólnot europejskich o pół wieku!). Spróbujmy tylko opisać ich funkcjonowanie w języku dziewiętnastowiecznym...

Na spotkaniach z młodzieżą – polską, białoruską, ukraińską – chcąc przybliżyć słuchaczom nieuchwytną istotę europejskiego projektu, opowiadam zwykle wymyśloną przeze mnie bajeczkę o stadku chomików, które dokonują po raz pierwszy w dziejach eksperymentu pod nazwą „wspólnota europejska”. Dokonują go na sobie samych, a cechą szczególną jest to, że nie ma wśród nich „superchomika”. Wszystkie chomiki starają się udawać, że są równe; nawet ten największy kurczy się jak może i nie dowodzi, lecz funduje wszystkim dokoła dodatkowe porcje pszenicy. Powie ktoś: ale według przedstawionego przez Konwent projektu Traktatu Konstytucyjnego chomiki zostają uszeregowane według rozmiarów! Odpowiem: moja bajka jest prawdziwa tylko w połowie; ale i tak mówi o rzeczach, jakie dawniej nigdy nie istniały.

Jakie są cele wielkiego eksperymentu? Pamiętamy, że twórcom wspólnot przyświecały trzy: wykluczyć wojny, zachować tożsamości, zwiększyć dobrobyt. Pierwszy, najbardziej oczywisty, został w pełni osiągnięty; dziś sukces w tej dziedzinie stał się tak wyraźny, że jesteśmy skłonni o nim zapominać. A przecież na obszarze dzisiejszej Unii nie było w historii Europy nigdy nawet o połowę krótszego okresu pokoju! Drugi cel bywa często zamazywany, a nawet negowany. Zwolennikom integracji przypisuje się chęć zatarcia różnic między narodami włączanymi w projekt europejski. Często używa się też hasła „Europa ojczyzn” (mylnie przypisywanego de Gaulle’owi), by odciąć się od rzekomo unifikujących dążeń „brukselczyków” czy „federalistów”. Kiedy się chce te kwestie wyjaśnić, poczucie wyważania otwartych drzwi zderza się ze świadomością rozpowszechnionych i uporczywie powtarzanych nieporozumień. W tym miejscu wystarczy zwrócić uwagę, że żaden z Ojców Europy – ani Monnet, ani Schuman, ani de Gasperi, ani Spaak, ani tym bardziej Adenauer – nie zamierzał zastępować tożsamości swoich narodów jakąś wspólną europejską. Dla nich wszystkich budo-

wanie wspólnoty europejskiej było narzędziem zabezpieczania przyszłości ich własnych narodów. Nawet jeżeli używali czasem formuły „Stanów Zjednoczonych Europy” (a trzeba przypominać, że ruch europejski cieszył się entuzjastycznym poparciem prezydentów USA, zwłaszcza Kennedy’ego), nie mieli na myśli stosowania na Starym Kontynencie formuły *ex pluribus unum*. Chcieli zgodnie kultywować europejską różnorodność, wiązaną poczuciem wspólnoty kulturowej. I nic się zasadniczo od tej pory nie zmieniło. Wspólnotowe instytucje mają, wedle recepty Monneta, być narzędziem, a zarazem wsparciem dla poczucia solidarności.

I dzisiaj nie ma innej „europejskiej tożsamości” poza wspólnym poczuciem Belgów, Estończyków, Hiszpanów, Niemców czy Szkotów; tak samo jak nie ma europejskich kołysanek ani europejskiego języka. Unifikacja, która nam grozi, nie wiąże się z funkcjonowaniem unijnych instytucji, ale z procesami globalizacji.

Szczegółowość europejskiego projektu polega bowiem i na tym, że wprowadzając radykalne zmiany w sposobie sprawowania narodowej suwerenności, jest zarazem projektem bynajmniej nie rewolucyjnym. Nie jest realizacją teoretycznego modelu; nawet programowe publikacje takiego ideologa jedności europejskiej, jakim był Richard Coudenhove-Kalergi, są głęboko osadzone w historycznych konkretach. Zasada, by prawo zawsze było ważniejsze niż siła, oraz uporczywe wysiłki w celu wytworzenia nowej kultury stosunków między państwowych, opartej na stawianiu sobie wspólnych celów i dążenia do nich drogą aktów zaufania, wzajemnych ustępstw i kompromisów – to nie jest w Europie wynik filozoficznych założeń albo wiary w możliwość idealnego porządku świata. Jest to, przeciwnie, rezultat przemyślenia doświadczeń historycznych oraz uznania przeszłości za istotny składnik więzów łączących ludzi i ich zbiorowości. Historyzm w widzeniu natury społeczeństwa różni Europejczyków od Amerykanów (z czego dzisiejsi Polacy nie zdają sobie na ogół sprawy). Widać to na przykład i w symbolice miejsc, jak Akwizgran czy Strasburg, i w historyczności symboli na banknotach euro.

Powinno być oczywiste – a nie dla wszystkich jest – że owa wspólna europejska gleba duchowa, umożliwiająca integrację, byłaby nie do pomyślenia bez chrześcijaństwa. Widzenie w drugim człowieku bliźniego ułatwia pojednanie; formuła polskich biskupów, którzy zwrócili się do hierarchów niemieckich ze słowami: przebaczymy i prosimy o przebaczenie, mogłaby się stać moralną dewizą Unii. A chociaż prawo bywało tak często łamane przez monarchów z krzyżem na koronie i chociaż w imieniu takiej czy innej odmiany wiary w Chrystusa wymordowano w Europie miliony ludzi, szacunek dla osoby bliźniego i dążność do podporządkowania siły ładowi, ujętemu w kanony, stanowi twardy rdzeń chrześcijańskiej tradycji. Zdawali sobie z tego doskonale sprawę Adenauer, de Gasperi i Schuman. Ale nie przedstawiali, z różnych praktycznych względów, projektu europejskiego jako urzeczywistnienia chrześcijańskiej wizji stosunków międzynarodowych.

Projekt europejski jest projektem dośrodkowym. Od końca XVIII wieku (bitwa pod Wiedniem) Europejczykom zagrażali wyłącznie inni Europejczycy (niektórzy, jak Polacy, Estończycy czy Węgrzy, uważają Rosjan za wyjątek; oto osobny temat

do rozważenia i przypomnienie, że Polska leży na skraju europejskiej cywilizacji politycznej). Pierwsza wojna światowa pozostawiła, tak w literaturze pięknej, jak w myśli politycznej, poczucie bezsensownej walki bratobójczej. Mieli je od pierwszej chwili także i Polacy: przypominam znany wiersz Edwarda Słoińskiego „Rozdzielił nas, mój bracie / Zły los i trzyma straż, / W dwu wrogich sobie szańcach / Patrzymy śmierci w twarz”. (Poczucie to zostało później zatarte przez konieczność walki o granice odrodzonego państwa; to jeden ze składników *exception polonaise!*). Wróg okazywał się także człowiekiem: to myśl, która wraca na przykład w tak nasyconym niemieckim patriotyzmem książce jak *W stalowych burzach* Ernsta Jünger.

Doświadczenia II wojny światowej podziały przynaglająco. Nie były one jednolite. Tym razem winowajca, Trzecia Rzesza, był niewątpliwym; ale nietrudno było zauważyć, że potraktowanie Niemiec po roku 1918 umożliwiło Hitlerowi dojście do władzy. W Europie Zachodniej totalitaryzm nazistowski nie okazał w pełni swojego zbrodniczego oblicza; totalitaryzm sowiecki tam nie dotarł. Narody Europy Środkowo-Wschodniej miały doświadczenia znacznie gorsze: traktowanie wroga (Żyda, Polaka, kułaka, „kontrewolucjonisty”, „faszysty”) jak przedmiotu zarażało, działało dehumanizująco wobec wszystkich. Przeciwnik ulegał odczłowieczeniu; przekonaliśmy się o tym w latach 1943–1944 na Wołyniu czy w 1945 r. podczas „przesiedlania” Niemców sudeckich lub pomorskich. Ta różnica w doświadczeniu historycznym jest moim zdaniem istotniejszą przyczyną nieufności do instytucji ponadnarodowych w naszej części Europy niż przywiązanie do odzyskanej suwerenności państwowej. Odrodzone państwa cieszą się przecież niewielkim szacunkiem własnych obywateli. Rzecz w tym, że stosunki międzynarodowe widzi się (także pod wpływem postkomunistycznych osadów) głównie w kategoriach sobkowskiej konkurencji.

Europa wspólnotowa rodziła się stopniowo na bazie równoległych pamięci i podobnych doświadczeń. Nic dziwnego, że zakorzeniała się najłatwiej tam, gdzie doświadczenia były najbardziej zbliżone. Tam, gdzie były odmienne – gdzie nie pamiętano, jak dokuczliwi bywają bezpośredni sąsiedzi (a przecież – też ludzie...) – jak w wypadku Anglii czy Szwecji, integrowanie się we wspólnotę było i jest trudniejsze. Widać to również w Hiszpanii, która nie przeszła przez traumy obu wojen światowych, kiedy pozostawała na wygodnym i opłacalnym marginesie.

Zanurzenie w kontynentalnej historii i dążność do usunięcia tradycyjnych zagrożeń sprawiają również, że Unia kieruje się myślą głównie wewnątrz. Dawne mocarstwa kolonialne, przede wszystkim Francja, w nieco mniejszym stopniu Wielka Brytania, przejawiają niekiedy skłonność do poprawiania świata pozaeuropejskiego; Skandynawowie są rekordzistami w udzielaniu pomocy; ale Unia jako taka nie ma globalnych ambicji. Ba, jak się okazało w byłej Jugosławii, ma wielkie kłopoty z reagowaniem na to, co się dzieje poza jej obrębem, nawet w samej Europie. To jest jej wielka słabość, też moim zdaniem wynikająca z niedobrych doświadczeń przeszłości. Głównym narzędziem unijnej polityki zagranicznej w Europie jest otwieranie lub przysmykanie perspektywy członkostwa. To o wiele za mało.

Europejski brak skłonności do czynnego, a zwłaszcza zbrojnego, ingerowania w sprawy innych nie wynika z obawy przed stratami. To nie Europejczycy wymyślili regułę „zero strat własnych”. Wypływa on moim zdaniem z trzech innych źródeł. Po pierwsze, z przekonania, że zbiorowości ludzkie są różnorodne i nie ma sensu wysuwać wobec nich jednakowych oczekiwań. Próby przerabiania świata na własną modłę kończą się źle. Po drugie, z kultu prawa jako narzędzia regulacji stosunków międzyludzkich, narzędzia alternatywnego wobec siły i skuteczniejszego w długofalowym działaniu. Po trzecie wreszcie, z opisanego powyżej poczucia, że każdy przeciwnik jest także i przede wszystkim człowiekiem. Kiedy zestawiamy europejskie i amerykańskie popularne filmy wojenne z ostatniego półwiecza, musimy zauważyć, że dla Amerykanów typowy przeciwnik to nie-całkiem-człowiek. Z jednej strony walczą bowiem zindywidualizowani żołnierze amerykańscy, z drugiej bezosobowe mrowia Japończyków, Koreańczyków i Wietnamczyków. Także wojna w Iraku była przedstawiana jako walka dzielnych wyzwolicieli (wśród których liczono każdego poległego) ze współnikami zbrodniarzy, których strat nigdy nie liczono. Rysuję tu obraz bardzo uproszczony nie po to, by oczerniać Amerykanów (którzy wcale nie chcą podbojów i rządzenia innymi), ale aby wyjaśnić wielką rozbieżność w postawach opinii publicznej. Dla wielu Amerykanów wojna za granicą jest po prostu walką swoich z obcymi i dobra ze złem.

Unia choruje dzisiaj na własne sukcesy w dwu dziedzinach: jakości życia oraz międzynarodowego ładu politycznego. Wysoki poziom jakości życia (tzn. nie tylko i nie tyle dochodu, ile dostępnych świadczeń medycznych i socjalnych, emerytur, wolnego czasu, bezpieczeństwa pracy, trwałości zatrudnienia i tak dalej) jest na jej obszarze związany z tak zwanym europejskim modelem socjalnym. Wcielenia tego modelu w poszczególnych państwach są rozmaite (w klasycznej formie występuje w Skandynawii, w najbardziej ograniczonej – w Wielkiej Brytanii), ale wszędzie opiera się na założeniu, że dobrobyt całego społeczeństwa wymaga zabezpieczenia losu słabszych. Ujmując to od innej strony, Europejczycy nie chcą tolerować istnienia obszarów nędzy i dążą do łagodzenia jaskrawych różnic w poziomie egzystencji. I to im się w znacznym stopniu udało. Chociaż „europejski model” bywał często atakowany jako z natury gospodarczo nieefektywny, jeszcze w roku 2002 wydajność pracy na godzinę (nie na zatrudnionego, bo Amerykanie pracują około 300 godzin rocznie więcej) była we Francji i Niemczech wyższa niż w USA (choć w Anglii była znacznie niższa). Teraz jednak pod względem wydajności pracy Europejczycy zaczynają zostawać w tyle. Częściowo jest to spowodowane osłabnięciem bodźców: skoro jesteśmy tak dobrze zabezpieczeni, to po co się wysilać? Równocześnie rosną, na skutek przedłużania się przeciętnego życia ludzkiego, koszty opieki zdrowotnej i emerytur. Czy – jak twierdzą entuzjaści wolnej gry rynkowej i ograniczenia „opiekuńczości” państwa – wobec potężniejących nacisków globalnej konkurencji jedynym wyjściem jest odrzucenie „europejskiego modelu”? Takie odrzucenie byłoby politycznie trudne i zmieniłoby charakter społeczeństw europejskich, w których zasada solidarności (głoszona przecież nie tylko przez lewicę, ale i przez chrześcijańskich demokratów) jest istotnym składnikiem przyjętego etosu.

Druga choroba przyniesiona przez sukces – to magnetyzm Unii. To siła przyciągania zarówno milionów imigrantów, jak i państw, które chciałyby do Unii dołączyć, chociaż ich udział w dziedzictwie europejskim jest co najmniej problematyczny.

Do niedawna większość imigrantów pochodziła z krajów leżących poza Europą: z Afryki (do Francji i Włoch), z Azji (do Wielkiej Brytanii i Holandii), Bliskiego Wschodu (do Niemiec). Wywołuje to niepokój o rozmywanie się tożsamości zarówno narodowej, jak i ogólnoeuropejskiej. Asymilacja kulturowa imigrantów stała się dla kilku – i to kluczowych, bo dużych – państw europejskich problemem znacznej wagi. Próbuje się go rozwiązywać rozmaicie: na zasadzie przyjmowanej do wiadomości półseparacji (jak w Niemczech), tolerowania różnorodności (jak w Wielkiej Brytanii), integrowania poprzez podporządkowanie lokalnemu prawu i obyczajowi (we Francji). Ten ostatni sposób wywołał najwięcej szumu; ale też i Francja boryka się z trudnością szczególną. Imigranci pochodzą z jednego obszaru (Maghrebu), jest ich bardzo wielu (blisko 10% ludności państwa), wykazują dużą aktywność publiczną. W dość gorączkowym przedstawianiu francuskiego sporu o chusty zapomina się zwykle, że znacznie surowszy zakaz ich noszenia obowiązuje od 80 lat w Turcji... W Wielkiej Brytanii, gdzie wyznawcy islamu mają bardzo rozmaite korzenie etniczne, problem ma inny charakter; a dla poczucia „brytyjskości” zaplecze kulturowe jest niezbyt ważne.

Ze znacznie większą natarczywością pytanie o poczucie wspólnej „europejskości” jako duchowego zaplecza Unii musi się pojawić w odniesieniu do kandydatury Turcji na członka wspólnoty. Patrząc na to z perspektywy historycznej, trudno sobie wyobrazić większy komplement dla europejskiego projektu. Oto do państw Unii, tworzący, który nosi w nazwie określenie „europejski”, użyte po raz pierwszy w VIII wieku i wydobyte z zapomnienia w wieku XV dla odróżnienia od mahometańskich najeźdźców, zwraca się państwo, które jest bezpośrednim spadkobiercą zagrażających ongiś chrześcijańskiej Europie sułtanów, by je przyjąć do grona w imię... wspólnej europejskości!

Trudno przewidzieć, jak potoczą się losy tureckiej kandydatury. Polska ją oficjalnie popiera, i w tym wypadku stanowisko rządu nie wywołuje protestu – chociaż zostało przyjęte bez dyskusji i chociaż musi zastanawiać wobec jednoczesnego popierania postulatów, by Traktat Konstytucyjny poprzedzić preambułą, odnoszącą się do chrześcijańskich korzeni wspólnoty europejskiej. Z polskiej perspektywy sprawa przyjęcia Turcji powinna być rozpatrywana nie tylko od strony instrumentalnej (zbudowania przyczółka stabilizacji politycznej na granicy Europy i Środkowego Wschodu), ale również od strony definicji zakresu „europejskości”. Jeżeli Unia ma się zdobyć na wysiłek włączenia ogromnego państwa islamskiego, którego tylko kawałek leży na naszym kontynencie i którego związki z kulturą europejską są luźne i niegłębokie – to w takim samym stabilizacyjnym celu powinna przede wszystkim zająć się leżącymi bezpośrednio na wschód od naszych granic Białorusią, Ukrainą i Mołdową, starając się o danie ich ludności swobodnego wyboru cywilizacji politycznej, do której chcą należeć.

Obie choroby, ściągnięte przez sukcesy, Unia przechodzi w złym okresie re-nacjonalizacji myślenia o sprawach międzynarodowych i prób powrotu do oby-

czajów *Machtpolitik*. Mnożą się przejawy odstępowania od zasad solidarności i zaufania, które są ideowym fundamentem wspólnotowego projektu. Traktat Nicejski, wzmacniający międzyrządowe sposoby podejmowania decyzji, współbrzmi z tymi tendencjami. Jeżeli wielka dyskusja wokół projektu – niedoskonałego! – Traktatu Konstytucyjnego zakończy się ponownym umocnieniem metody wspólnotowej i wspólnotowych instytucji (jak Komisja i Parlament), szansa na przewycięzenie kryzysów wzrośnie. W tej chwili za wcześnie na rokowania. Sądzę jednak, że ostatecznie organizm Unii, który przetrwał już niejedną chorobę, okaże się wystarczająco odporny.